

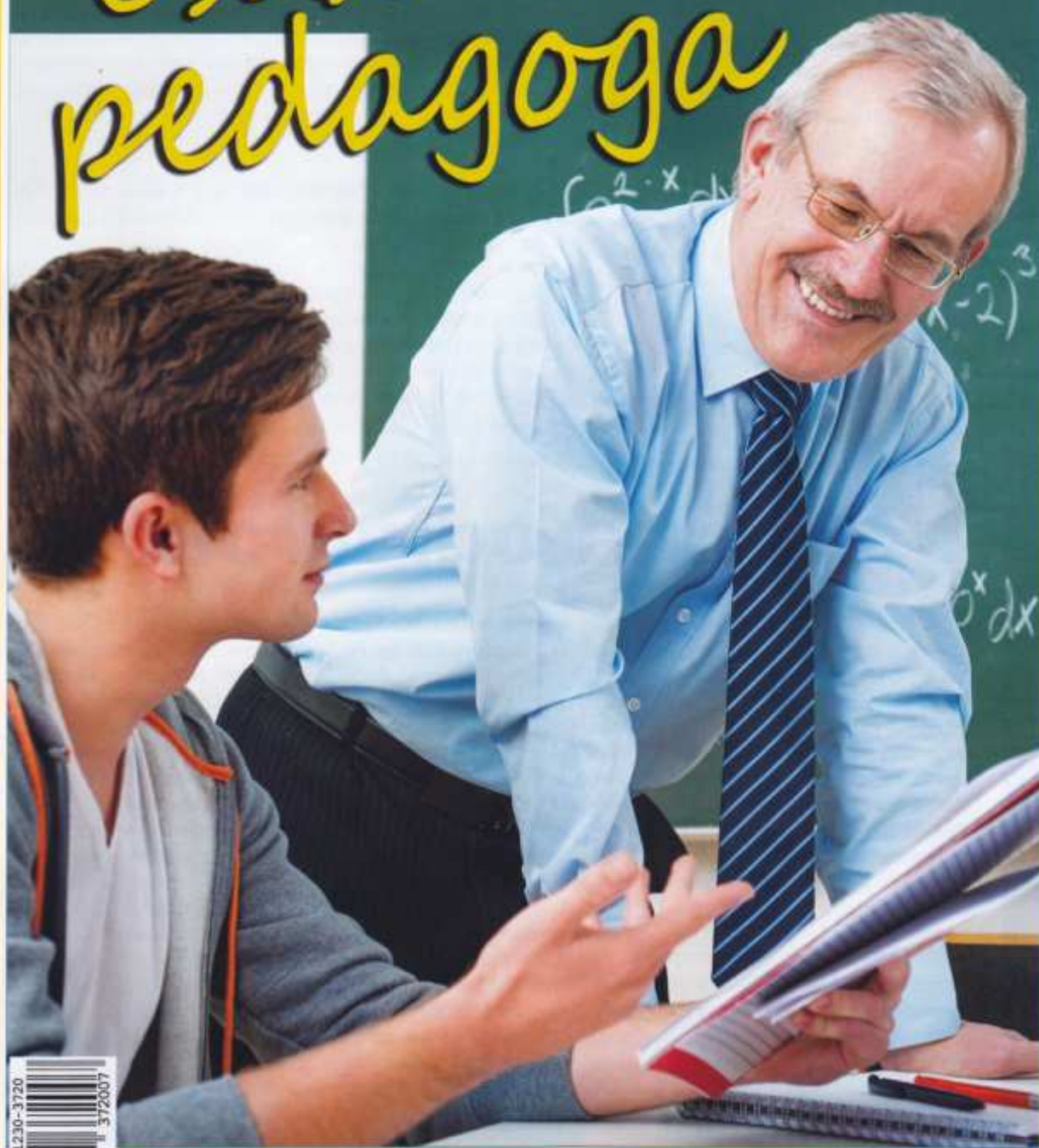


Wychowawca

MIESIĘCZNIK NAUCZYCIELI I WYCHOWAWCÓW KATOLICKICH

Nr 10 (294) ■ Kraków ■ Październik 2017 ■ cena 7 zł (wz. 5%) nakład: 4500 egz. ISSN 1230-3720

Osoba pedagoga



Bohumil Hrabal pisał: „Porządna książka nie jest po to, aby czytelnik mógł łatwiej usnąć, ale żeby musiał wyskoczyć z łóżka i tak jak stoi, w białym, pobiec do pana literata i sprać go po pysku”. Dlaczego go cytuję? Nie zamierzam pisać czegoś, co nikogo nie poruszy. Są wakacje, siedzę nad morzem i powinienem być rozleniwiony. Kiedy mam pisać o tym, jak powinno się pracować z uczniem, którego nazywa się trudnym, nie może być mowy o rozleniwieniu.



Fot. Pustki.com

Zdarzało mi się trafić na ludzi zatrudnionych w roli resocjalizatorów, którzy na moje opowieści, jak cudownie mi się pracowało w ośrodku wychowawczym i jakie miałem wyniki, prychnęli z niedowierzaniem. Oni wiedzieli swoje – to mogła być przecież wyłącznie udręka!

Wyjaśnię: byłem nauczycielem w ośmioklasówce przez 10 lat oraz wychowawcą resocjalizacyjnym przez 30 lat (z czego 24 w młodzieżowym ośrodku wychowawczym). Nie rozsypałem się psychicznie, a nawet uznałem, że była to moja ulubiona praca. Z satysfakcją używam określenia: dowody chodzą żywe po naszej planecie.

Zapytam pedagogów: czy świadomie wybraliście swój zawód?, czy byliście pasjonatami tego, co robiliście?, czy byliście kimś, kto ma wychwytywać winowajców i ich karcić, czy może uważaliście się za przewodników przez życie?; czy byliście obserwowani krytycznym okiem kolegów i dyrekcji?, czy odczuliście, że w pracy nie jesteście sobą?

W tych pytaniach kryje się sporo możliwych odpowiedzi, które wyjaśniają, dlaczego można się czuć niespełnionym. Bo

przecież nikt z nas nie miał takiego marzenia, aby zostać nielubianym nauczycielem... Opowiem zatem, jak było na początku ze mną.

Były momenty, że byłem bezradny, że popełniałem masę błędów, że się szarpałem, także z samym sobą. Nigdy nie uważałem, że będąc wychowawcą staję się automatycznie jednym z kółek w maszynie. Unikałem presji „doświadczonych kolegów” (oni wychowywali pięścią!). Tym bardziej byłem sobą, czyli przewodnikiem a nie dozorcą dla młodych ludzi. To właśnie im służyłem, a nie chimerycznej, bezcielesnej oświacie. Wierzyłem przy tym, że jestem człowiekiem moralnym, który nie tworzy sobie w pracy zacisznego gniazda, ani unika odpowiedzialności za swoje decyzje. Nie dba też o względy innych dorosłych.

Dla kogo wychowuję? Dla Boga? Dla kraju, dla państwa? Na wzór i podobieństwo moje (bo chyba ja jestem wzorcem)!? Dla samego wychowanka... i tylko dla niego? Dla jakiejś idei? Jak to robić? Komunikować się z nim z pozycji mądrzejszego? Toż niczego nie zrozumie... Z pozycji ważniejszego? Może to działać

odstręcająco... Znaleźć płaszczyznę porozumienia bliską poziomowi wychowanka? Dla wielu dorosłych to zgroza...

Co to jest skuteczność w wychowaniu? Zmuszenie wychowanka do poddania się naszej woli? Zmanipulowanie go, by poddał się naszej woli, np. przekupstwem? Czy poddawanie się wychowanka naszej woli jest właśnie tym, co chcemy osiągnąć? Może trzeba być samemu wzorcem, który on zechce naśladować?

Wychowanie jest sprawą bardzo intymną, a nie oficjalną czy urzędową. Przyjąłem na samym początku szereg własnych reguł. One naprawdę były mi potrzebne. W żaden sposób nie kłóciły się z zasadami współżycia między ludźmi. Należy pamiętać, że wychowawca pracuje swoją osobowością. Jest to jeden z najtrudniejszych sposobów pracy. Tu nie pracuje się przewagą, dlatego moi koledzy nie rozumieli moich działań. Znalazłem za to sojuszników.

Istotne było to, że nigdy tych reguł się nie wyparłem, bo były skuteczne w jakiś szlachetny sposób. Dzięki nim uzyskałem ostatecznie rodzaj autonomii w moich oddziaływaniach. Poradziłem

sobie z własnym ja; uznałem, że jeśli nie uważam swego podopiecznego za „trudnego”, znika wiele przeszkód.

- To rzecz nieunikniona: muszę być JA i musisz być TY.
- Musi coś zaistnieć, jakiś MÓJ zamiar kontaktu z TOBA, bo JA chce na CIEBIE wpłynąć.
- Wiem, PO CO to chcę zrobić.
- JA konstruuje PRZEKAZ. Wiem CO powiedzieć, dobieram słowa, ton głosu, mimikę, gestykulację, bo wiem, JAK to przekazać.
- Musi zadziałać bodziec, który uczyni, że TY zwrócisz na MNIE uwagę. Teraz TY słuchasz, co JA mówię.
- Najpierw TY reagujesz na MÓJ ton głosu, na mimikę i gestykulację. Wnioskujesz o MOICH intencjach.
- Rzecz w tym, że różnią nas standardy osobiste: pewna mimika może co innego znaczyć dla MNIE i co innego dla CIEBIE; pewien ton głosu wywoła u CIEBIE inne skojarzenia niż u MNIE.
- Teraz analiza tego, CO mówię może zostać zinterpretowana przez CIEBIE niezgodnie z MOJĄ intencją.
- JA jestem pedagogiem, zatem nie wolno mi oburzać się na TWOJE reakcje, że są nieadekwatne. Muszę dokonać szybkiej analizy MOJEGO przekazu.
- I przekazać to jeszcze raz. Inaczej. Skuteczniej.

Zanim wszedłem na dobre do klanu resocjalizatorów, zaraz po maturze zostałem pedagogiem podwórkowym (intensywnie, przez 10 lat). Idąc na studia pedagogiczne miałem już pogląd na to, co będę robił. Wcześniej jednak podjąłem studia artystyczne, a zajmując się pogubionymi dziećmi z osiedla poznawałem pedagogiczną praktykę. Musiałem sam dociekać, jak rozmawiać z dzieckiem, z jego kolegami, rodzicami, szkołą, dzielnicowym... Szlifowałem wiedzę w zaprzyjaźnionym domu dziecka, gdzie nawet mnie zatrudniono na kawalek etatu. Wiele razy byłem wychowawcą na koloniach. Po obronie pracy dyplomowej pt. „Samocena dzieci niedostosowanych

społecznie a aktywizowanie do samowychowania” miałem już swój zestaw badań. Osobami badanymi byli moi podopieczni, zaś grupę kontrolną stanowili ich koledzy, ci „uporządkowani”. Krótko mówiąc, stając się etatowym pedagogiem posiadałem własny warsztat.

Różniłem się od innych pedagogów. Byłem dojrzały, miałem wiele doświadczenia (społeczny kurator sądowy, praca z narkomanami), ale nie byłem takim samym dorosłym. W swoich działaniach nie miałem szefów, grona osób oceniających moje działania, rozkładu zajęć, przydzielonych zadań. Byłem starszym kolegą moich podopiecznych. Kiedy dołączył do mnie drugi pedagog, mieliśmy na terenie naszego dużego miasta ponad 300 podopiecznych. Rozliczałem się przed dziećmi, ich bliskimi oraz własnym sumieniem. W trakcie skończyłem podyplomowo resocjalizację.

Rozpoczynając pracę w młodzieżowym ośrodku wychowawczym, wiedziałem, że choć pracować w miejscu, którego organicznie nie znosiłem, aby móc je przemieniać¹. Szybko zorientowałem się, że moje życiowe doświadczenie i sukcesy nie miały tu dla nikogo znaczenia. Moi koledzy-wychowawcy uważali się za starych wyjadaczy i chętnie to demonstrowali. Wychowankowie starali się udowodnić, że nie poddadzą się nikomu. Jedni starali się uczynić ze mnie współnika swoich praktyk, drudzy uważali mnie za przedstawicieli tego, czego nienawidzili. Ja zaś już miałem wiedzę, że nie pracuje się z młodymi ludźmi... przewagą.

Pierwszy rok pracy pokazał, że miałem rację. Udalo mi się przekonać wychowanków, że jestem inny. Nie zamierzałem grać „twardziela”, ale też nie miałem żadnych powodów, aby się bać swoich wychowanków. Jednym z ważniejszych moich spostrzeżeń było, że pedagodzy usiłują być jak najdalej od sytuacji trudnych. Wielu z nich okazywało się zwykłymi tchórzami i mistyfiktorami. Inni nie byli nigdy przygotowani do pracy z ludźmi. Do tej pory studia pedagogiczne bardziej zajmują się teorią niż umiejętnościami praktycznymi.

Co mi pomagało? Byłem zrównoważony, nie lekceważyłem spraw wychowanków, byłem wobec nich uczynny. Jednocześnie – używając zrozumiałego języ-

ka – dawałem do zrozumienia, że moje zwiększone wymagania wiążą się z moją pozytywną oceną wychowanków, że uczciwe trzymanie się reguł gry daje radość z grania, że zaufanie przynosi wszystkim korzyści. Bardzo dbałem, aby moja pobłażliwość była powiązana z zaufaniem, aby uczynność była sympatią a nie przekupstwem, aby naruszając zasady wyraźnie odczuwali stratę.

Jak to było możliwe? Miałem wspólnych sojuszników, dwóch kolegów, z którymi zajmowałem się grupą. Rozumieliśmy się i uzupełnialiśmy. Wszyscy trzej prowadziliśmy dużo różnorodnych zajęć i były to zajęcia lubiane i cenione. Tłumaczyłem chłopcom, że my, wychowawcy jesteśmy tu dla nich, że jeśli mamy czas posiedzieć i napić się herbaty, to dlatego, że wychowankowie dali nam wolny czas (!). Podczas gdy w innych grupach zajęcia oznaczały wrzucenie piłki na salę gimnastyczną lub wręczenie szczotki i szmaty, to u nas były wyjścia do kina, teatru, filharmonii, koło strzeleckie, koło komputerowe, dyskusyjny klub filmowy, wyjścia do lasu, aby robić mosty lino-we na drzewach, biwaki, zgrupowania w kawalerii powietrznej i wiele innych. Naruszanie grupowych zasad wprawiało wychowawców w smutek i przygnębienie – tracili energię pozwalającą prowadzić ciekawe zajęcia... Innym aspektem było to, że byliśmy wychowawcami dla wszystkich wychowanków ośrodka. Wszyscy mogli brać udział w naszych zajęciach, bowiem przyjęliśmy taką formułę.

- „Wychowankowie mają prawo do zachowywania swoich tajemnic – gdy chłopiec dzielił się ze mną informacją osobistą w zaufaniu, słyszał np. pytanie: Czy mogę to przekazać panu Leszkowi? Najczęściej zgadzał się, ale w przypadku zastrzeżenia poufności pozostali wychowawcy dowiadywali się jedynie o pojawieniu się nowego wątku, bez podawania szczegółów. Nikt się nie dopytywał – ufaliśmy, że ktoś czuwa nad rozwojem sprawy.
- Kara dla wychowanka nie ma być tworzeniem nowych problemów – trudne rozmowy nie miały być odreagowywaniem, ale miały prowadzić do rozwiązania problemów. Sprawa miała swój epilog tu i teraz, nie było powrotów do tego tematu (ewentualnie jako przykład dla

innych, za zgodą zainteresowanych stron). Kara miała być zadośćuczynieniem i winny sam ją proponował, a koledzy mogli ją opiniować.

- Stosowaliśmy regułę domniemywanej uczciwości i szczerości – prezentowaliśmy nastawienie, że skoro wychowanek tak przedstawia sprawę, to tak było. Uznaliśmy, że wyciąganie prawdy na siłę, w dodatku stawiając podopiecznych wobec własnych sugestii, mija się z celem. Od kłamstwa wymuszonego przez wychowawcę woleliśmy wyjaśnienia nie do końca sprawdzone¹².

Z czym to się wiązało? 60 wychowanków w internacie uważało nas trzech za ważnych dla siebie, uznawali nasz autorytet. Nasza grupa wychowanków zaś czuła dumę z nas, bo ich koledzy zazdrościli im wychowawców. Chyba właśnie dlatego, że nie byli zaniedbywani. Nie byli też karani, od pewnego momentu, gdy zostali oficjalnie uznani za godnych zaufania.

Etos naszej grupy wynikał z wypracowania w wychowankach przekonania, że oni tę grupę tworzą. Każdy z nich współtworzył grupę, która była udana. Dlatego stawiali się aktywni, odpowiedzialni, współpracujący. Nie pociągalo ich rozrabianie, picie alkoholu, demonstrowanie niezależności... Byli zadowoleni z losu i wiedzieli, że sami mieli na to wpływ.

Zacytuję swoją wypowiedź:

„Jeśli uznajemy, że kształtowanie dziecięcej osobowości należy oddawać w ręce osób, które staną się dla wychowanków przewodnikami po życiu, to nie możemy wyrzec się myśli, że przewodnik jest kimś, za kim chce się pójść. I to chyba najważniejsza myśl. Warto sobie przypomnieć: jakże często rezygnowało się z towarzystwa kogoś, kto – mimo swej olbrzymiej wiedzy – był człowiekiem odróżającym, niegodnym zaufania lub mizernym moralnie; jakże często siadało się obok osoby prostej i naiwnej, która emanowała ciepłem i dobrocią...¹³”.

Zawsze miałem poczucie, że takie wynurzenia i rozmyślenia wydają się czasem ciekawe, tyle że niekoniecznie potrzebne. Wiedzieli o tym moi koledzy, którzy wychowali pięścią. Kiedy już się ze mną oswoili, wypowiedzieli mniej więcej taką kwestię: „Kiedy tu przyszedłeś, wszystko było proste – w razie potrzeby walilo się po pysku i był zaraz spokój.

Potem wszystko nam popsuleś, bo przy tobie nie wypadalo, a chłopcy odzwyczaili się...”. Większość pedagogów stosuje techniki proste, natychmiastowe, doraźne. To oczywiste, bo wtedy sytuacja robi wrażenie rozwiązanej, ma się spokój. Dyrekcja być może nawet o nic nie zapyta...

Według dorosłych młodzi grzesznicy muszą ponieść karę za swoje czyny i dlatego znaleźli się w ośrodku wychowawczym. Wychowawcy właśnie po to są, dlatego wychowanek pytający, czy można włączyć telewizor, słyszał, że nie jest tu w nagrodę. Na tej zasadzie wszystko się opierało, bo każdy pozytywny element życia można uznać za nagrodę, która się nie należy. Czyli... nieustająca kara. Mogłoby się wydawać, że podopieczni powinni żyć w warunkach z minimalną ilością tlenu, byle przeżyli. Tymczasem w miejscach podobnych do ośrodka – łagodniejszych, jak domy dziecka – nie można się nigdzie ukryć, nie ma niczego prywatnego, osobistego. Nawet zatkanie uszu nie pomaga.

ni? To jasne, że nie są tu zaspokajane jakieś naturalne potrzeby psychiczne, może nawet są całkowicie wyrugowane? Dzieci same pewnych rzeczy nie wymyślą, zostały w coś wmanewrowane i trwało to latami. Najczęściej rola pedagoga polega na naprawianiu po innych dorosłych. Zawsze towarzyszyło mi motto: *Dziwne byłoby, gdyby szewc czuł psychiczny dyskomfort, bo oddano mu do naprawy zepsute buty; albo gdyby lekarz oburzał się, że wszedł do niego pacjent z gorączką.*

Niby dlaczego ma być inaczej z pedagogami?

Krzysztof J. Kwiatkowski

KRZYSZTOF J. KWIATKOWSKI – polski propagator survivalu. Ukończył pedagogikę opiekuńczą na Uniwersytecie Łódzkim oraz studia podyplomowe z resocjalizacji w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej (obecnie Akademia Pedagogiki Specjalnej) w Warszawie. Pracuje z trudną młodzieżą.



Fot. Pansky.com

Nie ma też zbyt wiele możliwości, by mieć własne myśli, by dążyć do poprawienia się, do rozwoju, realizacji marzeń. Człowiek zbyt zajęty jest robieniem uników, by przetrwać.

No dobrze, a co z tymi, którzy nie są wychowankami ośrodków, tylko zwykłymi uczniami? Którzy nie potrafią się zachować, stawiają się, zaburzają spokój, chcą być widocznymi w każdej sytuacji, podziwia-

Przypisy:

1. <http://www.survival.edu.pl/wp-content/uploads/2006-GAZETA-ULICZNA.pdf>
2. Kwiatkowski K.J., *Wiem, że to możliwe... Praktyka łamiąca stereotyp pracy resocjalizacyjnej* [w:] Karłowicz E., Leszczyńska-Rejchert A. (red.), *Stereotypy w pedagogice, pracy socjalnej i resocjalizacji*. Toruń: Akapit (2012).
3. http://www.survival.edu.pl/wp-content/uploads/Nauczyciele_walczą_o_przetrwanie.pdf; z książki: J. Pyżalski (red.), *Ujrzeć szkolne demony, czyli w poszukiwaniu skutecznych strategii wychowawczych*. Starostwo Powiatowe w Łasku (2006)